

MOŚCICKI

BOMBA

Poinformowałem towarzyszy o celu swej podróży.

Mendelson odradzał mi użycie bomb do zamachów. Mówił, że jest to broń anarchistów, stosowana często na zachodzie Europy i z tej racji zdyskredytowana. Radził mi więc zorganizować raczej konny oddział bojowy i zrobić napad na jadącego satrapę rosyjskiego z bronią palną w rękę. Uważał, że zamach w tej formie i dobrze wykonany miałby wielką popularność na Zachodzie.

Nie odróżniał tego, że przecież nie jest rzeczą obojętną, do jakich celów bomb się używa; inaczej bowiem trzeba walczyć z okrutnymi metodami stosowanymi przez zaborcę, a inaczej protestować przeciw własnemu ustrojowi socjalnemu. W pierwszym przypadku należało doprowadzić do silnego wstrząsu, który by przerwał dalszy rozwój istniejących stosunków, prowadzący do coraz większego ucisku Polaków. Mógłby tu mieć zatem znaczenie jedynie radykalny protest, którego siła i ostrość byłaby dostosowane do brutalnych metod stosowanych przez zaborcę. W drugim przypadku natomiast ewolucyjny sposób działania był właśnie najodpowiedniejszy.

Z Londynu udałem się do Paryża i Szwajcarii, zdobyłem bowiem w Londynie kilka adresów, które mi miały zapewnić dostęp do poszukiwanej literatury.

Po powrocie do Warszawy, udałem się pieszo z dworca kolejowego na ul. Włók, a z umówionego uprzednio sygnału, jaki zauważyłem z okna naszego mieszkania, stwierdziłem, że w czasie mojej zagranicznej podróży nic podejrzanego nie zaszło.

Dla łatwiejszego dostępu do chemikaliów, potrzebnych do wyrobu materiałów wybuchowych, wyjechałem z małżonką do Rygi. Trzeba było wynająć tam mieszkanie, dostosowane do zamierzonych przeze mnie prac.

Z materiałami chemicznymi nie miałem żadnych trudności; mogłem więc szybko przystąpić do wyrobu nitrogliceryny, w czym pomagała mi małżonka.

Po wytworzeniu dostatecznej ilości i zabezpieczeniu od możliwości przypadkowego wybuchu złożyłem cały fabrykat do ręcznego koszyka małżonki, w którym miała go przenieść do mieszkania mojego kolegi. Zaraz jednak po wyjściu z domu zauważyła, że jest śledzona przez jakiegoś osobnika. Wstąpiła do sklepu i wyszła dopiero po dłuższym czasie, mając możliwość już bez przeszkody zanieść cenną zawartość koszyka do miejsca przeznaczenia.

Kolega mój, który jechał do Warszawy, miał przy tej sposobności zabrać z sobą i nasz produkt. Mógł zrobić to z całym spokojem, albowiem nie był do tychczas obciążony żadną nielegalną działalnością. Naturalnie, że poinformowano go o zawartości przesyłki. Ja zaś z żoną, chcąc zachować najdalej idącą ostrożność, wyjechalśmy do Warszawy okrężną drogą.

Przybywszy na miejsce, przekonałem się wkrótce, że jestem śledzony, jakkolwiek początkowo bardzo dyskretnie.

Wobec pożądanego pośpiechu byliśmy zmuszeni również zmienić plan działania. O ile przy wykonaniu pierwotnego naszego planu istniały pewne choćby nawet bardzo minimalne szanse ujęcia z życiem, to druga koncepcja nie dawała żadnej w tym względzie nadziei. Postanowiliśmy wtargnąć w mundurach oficerskich w dniu galowym do wnętrza soboru, gdzie gromadziły się najwyższe sfery naszych siepaczy i salwą bomb ich powitać, ginąc razem z nimi. I ciekawe jest, że ta nieznaczna zmiana, w pierwszym wypadku bowiem istniało przeciwieństwo małe prawdopodobieństwo ujęcia cało, wywołała ogromną zmianę naszych nastrojów.

Po wydaniu w ten sposób na samych siebie wyroku nie interesowaliśmy się niczym innym poza pracą przygotowawczą do zamachu, a wszelkie rozmowy koncentrowały się na tym przedmiocie. Przedstawiliśmy sobie obrazowo i nie bez humoru epizody w krytycznym momencie. Ktoś z zewnątrz mógłby sądzić, że jesteśmy sadystami. Stanu naszego psychicznego nie można już było uważać za normalny. Cały ten niesamowity nastrój był widocznie wywołany chęcią zagłuszenia działania instynktu samozachowawczego.



Ignacy Mościcki jako prezydent II Rzeczypospolitej

Żona moja opowiadała mi później za granicą, a znała tylko fragmenty naszych rozmów, że obniżały one w jej oczach ocenę naszych postaci.

Gdy już praca moja była odpowiednio zaawansowana, wyjeżdżałem kilka razy z Zielińskim łodzią na Bielany, dla dokonywania w tamtejszym lasku prób, z przygotowanymi próbnymi bombami. Każdorazowo, po zasypaniu pośpiesznie leżącego utworzonego przez wybuch, wskakiwaliśmy szybko do łodzi i odbijaliśmy na fochy Wisły. Jeden z próbnych wybuchów nastąpił raz w chwili, gdy w pobliskim obozie letnim orkiestra wojskowa grała państwowy hymn rosyjski; silna detonacja wywołała na pewno mocny dysonans w pieśni carosławia.

Tymczasem agenci coraz skrupulatniej, nawet już jawnie pilnowali mojego mieszkania. Trzeba było więc przyspieszyć zamach. Wówczas jednak zupełnie nieoczekiwanie nastąpił fakt, który pokrzyżował nasze plany. Oto ojciec Kunickich, wiedziony widocznym przecuciem, spowodował rozkaz wojskowy przeniesienia jego synów do Petersburga.

Wkrótce potem, a było to 30 czerwca 1892 roku, wpadł do nas wieczorem Zieliński, nagłąc do bezzwłocznej ucieczki za granicę, tejże bowiem nocy jeszcze mogła nastąpić rewizja w naszym mieszkaniu. Zdecydowałem ostatnią tę noc jeszcze zaryzykować, inaczej bowiem nie miałbym możliwości wyniesienia z domu całego materiału technicznego przygotowanego do zamachu.

Na podstawie częstych obserwacji ruchu ulicznego spoza firanek okiennych mogłem stwierdzić, że wczesnym rankiem między godz. 3 i 4 znikali agenci ze swoich stanowisk. Wykorzystywali oni widocznie ten krótki czas dla odpoczynku, nie przypuszczając zapewne, aby ofiary ich mogły im wtedy spłatać jakiego figla. Z tej sposobności postanowiłem więc skorzystać i opuścić ranitko mieszkanie.

Zabraliśmy się do pakowania rzeczy. Postanowiliśmy zabrać z sobą tylko bieżącą. Druga walizka była wypełniona przygotowanym przeze mnie materiałem wybuchowym.

O godzinie 10 wieczorem małżonka udała się na spoczynek.

W związku ze spodziewaną rewizją żandarmerii porobiłem przygotowania, abymy nie dostali się żywi w ręce władz rosyjskich. Przy łóżku żony postawiłem słoik z cyjankiem potasu, sam zaś przygotowałem odpowiednie narzędzie dla obrony, którą pragnąłem zaalarmować Warszawę i dać w ten sposób możliwość ukrycia się w porę tym, którzy mogli być również zagrożeni. W chwili powstania zgiełku walki u wejścia do mieszkania miała żona sięgnąć po słoik z trucizną. Tuż przed spoczynkiem zasnęła lewe oko, a że uważałem to za znak pomyślny, zasnęła spokojnie. Ja musiałem czuwać, nie tylko z racji spodziewanej wizyty żandarmerii, lecz również aby nie zasnąć.

Noc minęła szczęśliwie. Bardzo wczesnym rankiem obudziłem dozorcę domu, polecając sprowadzić dorożkę. Powiedziałem mu, że jedziemy na tydzień na wieś do Skierbieszowa, a dając rubla, powierzyłem opiekę nad mieszkaniem, obliczając dać więcej po powrocie.

Wybrałem dobrą porę, gdyż nie spostrzeżeni przez naszych opiekunów, opuściliśmy mieszkanie. Dorożkarzowi kazałem jechać na Dworzec Nadwiślański. Przybywszy tam, weszliśmy do poczekalni i dopiero po nadejściu pociągu opuściliśmy wraz z przyjezdnymi dworzec, aby inną dorożką udać się do mieszkania Zielińskiego; u niego pozostawiłem walizkę z materiałami wybuchowymi.

Trzecią z rzędu dorożką udaliśmy się od niego na Dworzec Petersburski i w ten sposób zatarliśmy za sobą wszelkie ślady.

Jak nas później informowano, władze po stwierdzeniu, że przyjazd nasz do Skierbieszowa nie nastąpił, zapytywały krewnych o nasz adres, a z mieszkania siostry zabrały moją fotografię.

Pierwszym etapem naszej dalszej podróży był dom rodziców mojego kolegi Zelechowskiego, których majątek, jak już wspomniałem, dochodził pod Grajewem do samej granicy niemieckiej. Przybywszy tam, poczuliśmy się znowu wolni i na razie bezpieczni.

Szczęśliwym trafem dawniejsza moja przygoda na stacji przy samej granicy, w małej wioszczynie w Prostkach, dała mi wskazania, bez których cały nasz misterny plan wydostania się spod łap rosyjskich nie byłby się udał. Bylibyśmy na pewno zatrzymani na pierwszej stacji niemieckiej i wydani władzom rosyjskim. Władze niemieckie bowiem w tym czasie wydawały przestępców politycznych Rosji, wyjazd zaś z miasteczka Eiku razem z innymi podróżnymi dawał bardzo małe prawdopodobieństwo komplikacji.

Podróż koleją minęła szczęśliwie. W Berlinie skorzystaliśmy z gościny Stefanów Tielów, bardzo inteligentnej rodziny robotniczej, znanej mi z poprzedniej podróży. Pochodzili z Gniezna w Wielkopolsce. Użycie hotelu było dla mnie niemożliwe ze względów konspiracyjnych.

Pewnego dnia udaliśmy się w towarzystwie młodszego brata naszego gospodarza na przechadzkę do Tiergartenu. Już mieliśmy wracać do domu, kiedy zauważyłem, że dwóch osobników zdecydowanie podąża za nami. Nie miałem żadnych wątpliwości, że są to szpicle policyjni. Trzeba było koniecznie od nich się oderwać, a nie była to rzecz prosta.

Przed wszystkim ostrzegłem dyskretnie towarzyszy przechadzki, aby się przypadkiem nie oglądali i zachowali dalej spokój, po czym dopiero poinformowałem ich o swojej obserwacji; przygotowałem ich na to, że w chwili kiedy będzie nas wyprzedzał tramwaj, wrzucę pośpiesznie na platformę małżonkę, po czym sam za nią wskoczę. Ryzykowny ten plan udał się znakomicie, pomimo wielkiej szybkości, jaką w tym miejscu tramwaj rozwijał. Pomocną była mi w tym nie tylko wielka moja siła, ale i właściwa szybkość ruchów.

Konduktor niemiecki, nie przyzwyczajony do tego rodzaju ekstrawagancji i to jeszcze przy pełnej szybkości wozu, dał mocny wyraz swemu oburzeniu; wciśnięta w dłoń marka załagodziła momentalnie nasz wzajemny stosunek.

Ucieczkę ułatwiła jeszcze i ta okoliczność, że nie było w pobliżu żadnej drożki.

Dojechawszy do pierwszego placyku, na którym krzyżowało się kilka linii tramwajowych, wskoczyliśmy zaraz do wozu, który właśnie ruszał. Byliśmy uratowani. Dopiero po przejechaniu większej przestrzeni skierowaliśmy się ku domowi.

Przygoda w Tiergartenie upewniła mnie, że pogoń została zarządzona i że dotarła już do Berlina. Dalsze pozostawanie na miejscu nie było bezpieczne. Na szczęście walizka z bielizną nadeszła już nazajutrz; nie zwlekaliśmy też dłużej z wyjazdem.